Lucyan Rydel.

Mistrz Twardowski.



oraz artykuł pt.

Maszyna do obcinania głów.



CHICAGO, ILLINOIS.
Drukiem i Nakładem W. Dyniewicza
1906.

Lucyan Rydel.

Mistrz Twardowski.



oraz artykuł pt.

Maszyna do obcinania głów.





CHICAGO, ILLINOIS.
Drukiem i Nakładem W. Dyniewicza
1906.



Przepiekielną jest legenda o mistrzu Twardowskim.

Syn szlachecki, żakiem, a potem magistrem był pono w Akademii Krakowskiej. Nie wystarcza mu wiedza zwykłemi sposobami nabyta, paliła go żądza bogactw bezmiernych, trawiła szalona ambicya i ciekawość. To też miał dyabłu zaprzedać duszę w jaskini ustronnej na Krzemionkach pod Krakowem, lud nazywa ją dotąd "grotą, albo szkołą Twardowskiego", bo w niej szatan uczył go swoich tajemnic w zamian za cyrokgraf, na byczej skórze skreślony krwią, moczoną z serdecznego palca. Posiadł też Twardowski wszelką wiedzę i moc nadprzyrodzoną, siły nieczyste na jego zaklęcie stawały mu na usługi. Sporządził sobie zwierciadła magiczne —podobno dotąd przechowane w miasteczku Węgrowie— i z niego przyszłość przepowiadał, lub duchy zmarłych żywymi ukazywał; za pomocą szkieł, zręcznie nastawionych umiał zapalać żarem promieni słonecznych najodleglejsze przedmioty; zdobył przez całe wieki daremnie poszukiwaną tajemnicę robienia złota i srebra, choć co prawda, nie potrzebował z niej korzystać bo dyabeł na usługi jego zgarnął całe pokłady drogocennych kruszczów i zakopał pod ziemią nie daleko miasta Olkusza. Ilekroć Mistrz potrzebował pieniędzy, wystarczało mu w dłonie klasnąć,

a natychmiast stawał przed nim olbrzymi osiodłany już kogut, który go na swym grzbiecie w lot nosił do Olkusza, skąd Twardowski powracał z kieszeniami, wypchanemi złotem i srebrem. I innych, nadzwyczajnych środków przenoszenia się z miejsca na miejsce, lubił używać nasz czarodziej. Raz na drzwiach kościelnych, które dyabli na jego skinienie z zawias wyrwali, odbył dużą podróż, klamką kierując tę dziwną łódź powietrzną. Gdzie nie bywał! Jakich sztuk nie dokonywał podczas takich wycieczek! Ogromny staw pod Tykocinem w jedną noc kazał biesom wykopać, pod Czerwińskiem głaz olbrzymi, którego dwanaście par wołów z miejsca ruszyć nie mogło, z pomocą czartowską dźwignął i przeniósł o milę. Zdumiewał świat cały owemi dziwami, szalał i używał życia, garściami złoto rozrzucając. Był jednak jegomość Pan Twardowski ludzkim i uczynnym czarodziejem: nie skąpił jałmużny ubogim i zadarmo przepisywał cudowne leki, a nawet i tajemnic swoich udzielał czasami. Chudaczek jakiś prosił go żarliwie o przepis na czarowanie pieniędzy, iżby się same w kieszeni mnożyły. Twardowski kazał mu pod Bożą męką stać na rozstajnych drogach o północy i dziewięć nowiutkich groszy przeliczyć po dziewięć razy, ale na wspak od dziewięciu do jednego, broń Boże zaś nie zmylić rachuby. Człeczyna zrobił jak mu kazano, liczył uważnie, gdy nagle stanęło przed nim maleńkie licho niby dziecko bose w koszulce

z ogromną głową i rysiemi wytrzeszczonemi oczyma. "Licz, a nie zmyl!" jęknęło zaśmiało się i zniknęło: Ze strachu zgubił rachunek i ledwo żywo uciekł do domu, a nie śmiał już powtarzać próby. Ożenił się Twardowski jeszcze za młodu, a dziwne to było żenienie. Rozmiłował się w pięknej, ale dumnej i sprzecznej dziewczynie, młodych, zbliżających się o jej rękę, zbywała ona urągliwie, pokazując im z daleka flaszeczkę, w której coś trzepotało się brzęcząc.

"Co to za owad: robak czy wąż?
Kto to odgadnie, będzie mój mąż!"

Ale nikomu nie pozwalała przyjrzeć się z bliska. Twardowski, w zaślepionego dziada przebrany, przyszedł żebrać do domu pięknej panny, aż gdy zamiast opatrzyć starowiny, ślepca, pod sam nos podsunęła mu złośliwie flaszkę i swoj wierszyk powiedziała, przyjrzał się dokładnie i rzecze: "Mości panno, to pszczoła!" Zerwał przyprawioną brodę i domagał się dotrzymania warunku. Rada nie rada, oddać musiała mu rękę. Ale nie długo z sobą żyli, bo Heród-baba wprędce dojadła Mistrzowi. Wygnał ją z domu. Popadała w coraz większą biedę, aż wreszcie skleiła sobie w rynku krakowskim domek z gliny i sprzedawała garnki, rynki, misy. Jak zwyczajna przekupka, język miała cięty, to też dokuczała Twardowskiemu co nie miara. Mścił się czarodziej różnymi sposobami, nie pomagało: szkalowała go

publicznie na rynku. Wreszcie było mu za dużo: jednego dnia pozłacaną kolasą, zaprzężoną w sześć białych rumaków, Twardowski wjechał w sam środek garncarskiego towaru swej połowicy i wytłukł wszystko do szczętu. Zrozpatrzona Jejmość wyniosła się z Krakowa.

Tak minęło siedm lat, oznaczonych cyrografem, jako termin, w którym Twardowski miał się samowolnie udać do Rzymu i tam się oddać dyabłu w szpony. Mistrzowi nie spieszno było, do Rzymu nie myślał jechać. Oszukane piekło wrzało zemstą, a jednak służyć mu i dalej musiało, potęgą czarów przynaglone. Twardowski szedł jednego razu przez puszczę Niepołomicką, gdy wtem stanęło przed nim olbrzymie widmo, które w oczach jego pękło, aż prawie pod niebiosy. "Nie pojedziesz do Rzymu?!" — krzyknęło straszliwie i wyrwawszy z korzeniem ogromną sosnę, uderzyło weń co siły. Umknął się, ale drzewo padając zgruchotało mu nogę. Leczył się potem długo cudownemi lekami, zkąd przezwano go "kuternogą". Podczas choroby spisał wszystkie swoje wiadomości z czarnej magii, a księga ta, dotąd znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej. Dawniej łańcuchem była do stołu przykuta. Na jednej karcie, w dolnym rogu widać dużą czarną plamę: jest to znak, wypalony łapą czarta, bo dyabeł, bojąc się o swe tajemnice, chciał księgę porwać do piekła i właśnie dotknął ją w tem miejscu, gdy zapiał kur a czarny w smołę się rozpłynął.

Lata mijały i nadchodziła starość, a z nią życie urok traciło. Twardowski postanowił się odmłodzić. Miał zaufanego sługę i powiernika, klechę kościelnego. Temu kazał, iżby go porąbał w sztuki, zlepił cudownym balsamem kawałki, a potem na rok i sześć niedziel pogrzebał na cmentarzu. Po upływie tego czasu klecha według rozkazu o północy rozkopał grób przy świetle latarki — i o dziwo! w trumnie znalazł różowe, uśmiechające dziecię i zabrał je do domu. Rosło tak, że w tydzień już biegać i chodzić umiało, we dwa, chłopcu wąsik sypać się zaczął pod nosem i Mistrz był odmłodzony cudownie. W obawie by klecha tajemnicy odmłodzenia nie zdradził, Twardowski zaklął go w pająka, lecz opiekował się nim najczulej i zawsze nosił go przy sobie.

Mówi dalej podanie, że, Zygmuntowi Augustowi, zrozpaczonemu po śmierci Barbary, czarodziej wywołał ducha zmarłej królowej na krakowskim zamku. Gdy Król Jegomość zerwał się i w ramiona ująć chciał lube widziadło, rozpłynęło się w powietrzu, a Zygmunt upadł bez zmysłów na krzesło; wiadomo też z powieści ludowej, że dyabeł chcąc dostać Twardowskiego, zwabił go do karczmy zwanej Rzym, gdzie pod Sandomierzem i ukazując ów cyrograf zażądał oddania duszy. Osnuta tym motywie Mickiewiczowska balada, wpowadzenie pani Twardowskiej i warunku, by czart żył z nią w małżeństwie przez rok, przybiera humorystyczny obrót, bo Mefistofel,

który dwom poprzednim warunkom zadość uczynił a nawet nie wahał się odbyć kąpieli w wodzie święconej przeraził się Jejmości, że "odtąd jak czmycha tak czmycha". Podanie krakowskie — zdaje się, starsze—nie tak wesoło się kończy.

Twardowski, chcąc opędzić się dyabłu, chwyta wprawdzie nowoochrzcone dziecko karczmarki i niem, jak tarczą, się zasłania, gdy jednak czart apeluje do jego honoru, czarnoksiężnik dziecko do kołyski kładzie i wziąć się pozwala, byle nie złamać swego verbum nobile. Wylecieli kominem; bies w czarną noc unosi swoją ofiarę. Mistrz w takich srogich terminach, żalem i skruchą przejęty, zaśpiewał Godzinki do Niepokalanego Poczęcia, które niegdyś, jako pobożny żaczek, sam był ułożył (czy może tylko z łaciny na polski wiersz przetłomaczył) i—nagle poczuł się wolnym. Stał na jakiejś ogromnej, srebrnej kuli, zawieszonej w przestworzach. Była to tarcza księżyca. Na niej do sądnego dnia pokutować ma grzesznik, ocalony orędownictwem Bogarodzicy. W plamach na księżycu dopatrzeć się można nieszczęsnego pokutnika, który z utęsknieniem spogląda na ukochaną rodzinną ziemię. Miewa z niej wiadomość od czasu do czasu, bo Klecha-pająk przędzie nitkę długą i po niej spuszcza się aż na dół, między ludzi, zasięgnie języka i z nowinami do swego powraca.

Koniec

Maszyna do obcinania głów.

Rewolucya rosyjska przejdzie zapewne jeszcze rozmaite fazy, w których nie braknie gilotyny. W swoim czasie rozeszła się była nawet po świecie wiadomość, że rewolucyoniści już byli sprowadzili do Petersburga dwa egzemplarze tej machiny, aby w razie dojścia do władzy mieć ją na wszelki wypadek pod ręką.

Jakkolwiek jednak będzie, żyjemy w czasach, w których warto poznać bliżej ten instrument, na którym wielka rewolucya wygrała swoje najkrwawsze melodye. Duma rosyjska zniosła karę śmierci. Jest to znak złowieszczy. Już pewien kronikarz wielkiej rewolucyi powiada, że "wówczas zniesienie kary śmierci wisiało w powietrzu. Należy zauważyć że utopia zawsze zagnieżdża się w sercach ludzkich na początku każdej rewolucyi, której sądzono być bardzo krwawą". W r. 1871 komuna zaczęła się od "uroczystego" spalenia gilotyny na placu Voltaire'a... Słowem jednogłośna uchwała Dumy o zniesieniu kary śmierci jest znakiem złym...

Dwa wysokie słupy gilotyny stoją na progu dziewietnastego wieku jak złowieszcza brama.

Przez drewniany naszyjnik gilotyny ludzkość zajrzała w swoją przyszłość jakby przez dziurkę od klucza.

Na straszliwym tym portalu oko nieświadomie niemal szukało złowieszczego napisu: "Lasciate ogni speranza" ale w rzeczywistości znajdował się tam napis pełen nadziei: "wolność, równość, braterstwo lub śmierć" wedle smutnego sarkazmu Mikołaja Chamfaure'a.

Za tą bramą była cała nadzieja przyszłego wieku. Cały poryw miłości dla ludzi, cały entuzyazm, który ogarnął Francyę i nagle wyładował się w gilotynie.

"Wszyscy ci, którzy wierzyli w dobro, z koniecznością przychodzili do wniosku, że dla tego tryumfu potrzeba przedewszystkiem wytępić wszystkich ludzi. Robespierre wierzył w sprawiedliwość i stworzył terror, Murat wierzył w dobro i żądał trzech milionów głów"— pisze Anatol France.

Wielka rewolucya była konsekwentna i logiczna, a miłość jej mogła wyrazić się tylko w równych i ostrych liniach gilotyny. Dzisiaj trudno uwierzyć, że machina ta była z początku wyrazem humanitaryzmu czasów.

Kiedy w roku 1791 doktor Guilotaine, zbierając opinie o karze śmierci, zwrócił się do kata Sansona, jako osoby najbardziej kompetentnej, usłyszał odeń następujące myśli:

"Aby egzekucya za pomocą miecza mogła odbyć się z wymaganiem ustawy, potrzeba koniecznie, aby wykonawca był zręczny i doświadczony, skazany, aby zupełnie panował nad sobą, nie mówiąc już o świadomych przeszkodach z jego strony. Inaczej jest absolutną

niemożliwością wykonywanie kary śmierci za pomocą miecza.

"Po każdem ścięciu brzeszczot miecza nie jest już dostatecznie ostry do wykonania następnej egzekucyi. Miecz potrzeba naprawiać i ostrzyć, a jeżeli egzekucya ma być wykonana nad kilku osobami, to potrzeba mieć dostateczną ilość dobrze przygotowanych mieczów.

"Jestto połączone z wieloma trudnościami i wydatkami. Zdarzyło się często, że miecze pękały przy podobnych operacyach. Kat Paryża ma tylko dwa miecze, które darowała mu ongiś była rada municypalna. Każdy z nich kosztuje 600 liwrów.

Długie doświadczenie poucza, że w razie masowej egzekucyi, jeżeli kilku skazanych ma być straconych jeden po drugim, widok rozlanej krwi napełnia przerażeniem nawet najbardziej stanowczych. Słabość zaś kata stanowi w egzekucyi niemal nieprzezwyciężoną słabość. Skazani nie mogą już utrzymać się na nogach, a egzekucya zamienia się w walkę i rzeź".

Należy zauważyć, że we Francyi przedrewolucyjnej skazany nie kładł głowy na klocu, ale oczekiwał noża, stojąc swobodnie i prosto.

Sanson kończy swoje opinie zapewnieniem o konieczności wynalezienia takiego podparcia dla ciała skazanego, które temu ostatniemu nie pozwalałoby ruszać się, a pozostawiałoby równocześnie swobodę ruchu katowi.

Stały sekretarz akademii medycznej dr. d'Amiens w rozprawie swojej o ostatnich

dniach Ludwika XVI daje taki opis starej przedrewolucyjnej egzekucyi.

"Rzeczywiście wystarczy rzucić okiem na opisy rozgłośnych egzekucyi, aby zobaczyć ilu to przypadkowościom ulegali skazani. Im wyższą była socyalna pozycya skazanego, tem więciej wykazywał on zimnej krwi i panowania nad sobą. Spojrzyjcie na Maryę Stuart. Była ona przekonana, że zetną ją metodą francuską, to jest że będzie musiała stać prosto przytem. Kiedy jej położono głowę na klocu, kat silnie wzburzony niepewną ręką wymierzył cios. Ostrze topora zamiast spaść na szyję, uderzyło o kość polityczną, raniąc tylko straszliwie nieszczęśliwą królowę. Skazana jednak ani nie drgnęła, ani jeden jęk nie wyszedł z jej ust. Dopiero po drugiem uderzeniu głowa odpadła od tułowia. Pewnego szlachcica, skazanego na śmierć w pierwszej połowie rewolucyi, musiano rąbnąć po szyi siedm razy, zanim głowa odpadła.

Nieprawy syn Karola II Monmut, jak przystało na prawdziwego gentlemana, zwrócił się do kata przed egzekucyą ze słowami: "Masz oto sześć gwinei i postaraj się rąbać mnie, nie jak kotlet, jak to uczyniłeś z lordem Russelem". Mimo to pierwszy cios zadał mu tylko lekką ranę. Monmut podniósł wówczas głowę i z wyrzutem spojrzał na kata. Potrzeba było jednak czterech ciosów, aby się ta krwawa tragedya skończyła.

Obawa przed niezręcznością kata mąciła

także ostatnie chwile kawalerowi De la Barre. Patrząc na paryskiego kata, którego specyalnie dla niego sprowadzono, śmiały ten młodzieniec powiedział:

—Czy dobry masz miecz? Pokaż mi go!

—Miecza nie pokazuje się nigdy szanowny panie, odpowiedział kat.

—Czyś to ty ścinał hrabiego Lilli?--ciągnął dalej De la Barre.

—Tak, panie!

—I zrobiłeś to bardzo niedołężnie.

—Sam był temu winien, ponieważ ani chwili nie chciał stać spokojnie. Niechaj szanowny pan raczy stać mocno, a ja już ręczę za siebie. Proszę być spokojnym.

I rzeczywiście kat zmierzywszy się kilkakrotnie zdjął głowę jednem uderzeniem.

Dr. Guillotaine był filantropem z gatunku tych najokrutniejszych filantropów wielkiej rewolucyi, którzy "wierzyli w dobro".

W zgromadzeniu narodowem zabiera on głos głównie w kwestyach hygieny. W historyi przechowały się dwa jego przemówienia: jedno z 1 czerwca 1789 o niehygieniczności sali obrad zgromadzenia, nie posiadającej odpowiedniej wentylacyi i 1 grudnia tegoż roku o karze śmierci.

W mowie tej opisał on różne sposoby kary śmierci: łamanie kołem, spalenie na stosie i domagał się dla wszystkich równości wobec śmierci, niezależnie od zbrodni, za którą na nią skazano.

"Skazany powinien być ścięty. A powinno się tego dokonywać za pomocą prostego mechanizmu".

Tu dał on krótki opis, jak powinien być zbudowanym ten mechanizm. I porwany uczuciem miłości bliźniego, zakończył słowami:

"Nóż spada z szybkością błyskawicy, głowa odpada, krew bryzga, człowiek już nie istnieje. Machina, taka będzie odrąbywała głowę bez wszelkiego bólu, tak, że panowie sami nie zdążycie tego zauważyć."

Wedle jednych zapisków zgromadzenie narodowe wybuchło w tem miejscu homerycznym śmiechem, wedle innych zaś odbarzyło mowcę grzmotem oklasków. Mimo to dopiero w półtora roku później 3 lipca 1791 roku uchwalono ustawę, która brzmi:

"Każdy skazany na śmierć ma być zabity przez odcięcie głowy."

Wielu historyków jest zdania, że wynalezienie gilotyny przyczyniło się do wzrostu ofiar rewolucyi. Jeden z nich powiada: "Machina ta wynaleziona w celach filantropijnych, pojawiła się w tym krytycznym momencie, kiedy burza rewolucyjna zamieniła się w huragan. Bez gilotyny trybunał rewolucyjny nie byłby mógł działać tak, jak działał. Ludność Paryża nie mogłaby była znieść widoku tylu egzekucyi, wykonywanych starym sposobem gdyby to było nawet fizycznie możliwem.

"Ani liońskie rozstrzelanie, ani nantejskie nuajady nie byłyby możliwe w Paryżu. Powodzenie gilotyny leżało w tej prostocie i dyskrecyi działania. Zdawało się, że ona ludzi nie zabijała, lecz tylko usuwała".

Na ludności przyzwyczajonej do widoku przedrewolucyjnych egzekucyj, torturowania, stosów, ćwiertowania, łamania na kole i t. p.

działalność gilotyny nie mogła wywierać głębokiego wrażenia. Aby wywołać wrażenie na masie rewolucyjnej, potrzeba było silnych gestów, rozdzierających okrzyków. Tymczasem skazani na gilotynowanie zachowywali się spokojnie i z godnością, co nie mogło wywrzeć żadnego wrażenia na tłumach. Stracenie pani Dubary z jej rozpaczliwymi krzykami, błaganiami, jękiem i płaczem stanowiło wyjątek i wstrząsnęło opinią publiczną tak dalece, że stało się jednym z powodów reakcyi Termidora. Kiedy wieziono ją na miejsce stracenia jęczącą i krzyczącą, widok był straszny, że ciekawi uciekali, drzwi zamykały się a w tłumie rozlegały się okrzyki przerażenia.

Nerwowa i wrażliwa ludność Paryża nie odczuwała okropności terroru głównie wskutek "czystości roboty" gilotny. Ale jeżeli sama kara nie wywoływała wrażenia, to trupy straconych i miejsce ich grzebania napełniały przerażeniem te dzielnice, gdzie pracowała gilotyna. Skoro tylko jaki cmentarz otwierał swe bramy dla zgilotynowanych, natychmiast ludność okolicznych dzielnic zaczynała protestować i krzyczeć o zarazie.

Ale z drugiej strony gilotyna przeszła do ludowej poezyi francuskiej. Lud nazywał ją "świętą gilotyną". Na cześć jej śpiewano także litanie:

"Święta gilotyno, obrończyni patryotów,
módl się za nami!
"Święta gilotyno, postrachu arystokratów,
obroń nas!
"Dobra machino, zmiłuj się nad nami!
"Dziwna maszyno, zmiłuj się nad nami!
"Święta gilotyno, obroń nas przed nieprzyjacioły naszymi".

Nazwisko Guillotaine'a gilotyna otrzymała

przypadkowo i niesłusznie. Rzeczywistym bowiem jej wynalazcą i konstruktorem był stały sekretarz akademii chirurgicznej dr. Antoni Loi. On obmyślił projekt gilotyny. Ale dla wykonania go potrzeba było pomocy niemieckiego fabrykanta fortepianów Tobiasza Schmidta, ponieważ stolarze francuscy nie chcieli przyczyniać się do budowy tego filantropijnego instrumentu. Opowiadają, że Tobiasz Schmidt był nawet przyjacielem Sansona, z którym jako zaciekłym melomanem grywał duety z Armidy.

Z początku nazwa gilotyny długo nie mogła się ustalić. Nazywano ją "Luażeltą i od nazwiska własnego jej konstruktora, potem "Mirabello", na cześć Mirabeau, wreszcie jednak przyjęła się nazwa "gilotyny".

Dr. Guillotain wbrew legendzie nie był stracony gilotyną. Wreszcie swemu charakterowi świadczył on dalej swym przyjaciołom usługi w rodzaju tej, którą wyświadczył ludności i Francyi. Mówią, że przygotowywał truciznę dla swych przyjaciół, którzy chcieli uniknąć publicznego stracenia.

Kiedy jeden z emigrantów poruczył jego opiece swą rodzinę i dr. Guillotaine odmówił na śledztwie wskazania miejsca jej pobytu, jego samego wrzucono do więzienia, skąd wyszedł dopiero po upadku Robespierra 10 Termidora. Umarł on w czasie Restauracyi w roku 1814. Na licytacyi jego mebli, po śmierci, zwracały uwagę dwa duże biusty Henryka IV i Sullyego, które stały w jego gabinecie.

Być może, że ojciec gilotyny był ukrytym rojalistą, podobnie jak twórca Marsylianki, a nawet kat Sanson, który w mieszkaniu swem przechowywał tajną drukarnię rojalistów i najmował msze za duszę straconego przezeń Ludwika XVIgo.